

Dzień ten

O słonecznym południu usiadła pani Katarzyna na kamiennym balkonie swego domu. Słodki cięzar słońca, od którego odgródzona była markizą w białe i rubinowe pasy, kładł się niewidzialnie na jej ciele i pętał je miękkim znużeniem niby siecią jedwabną. Z pustej głębi, znajdującej się pod stopami, szedł drewniany szelest wirujących kół i klaskanie kopyt. Przechyliwszy się ponad balustradę, pani Katarzyna mogła widzieć drobnych ludzi, idących w słońcu bokami, a środkiem duże, dobre, oswojone zwierzęta, z gracją grzyw potrząsanych ponoszące za sobą pudła pojazdów. Białawy, duszny kolor powietrza malował głęboką perspektywą wysadzonej drzewami ulicy w gobelinowe, nieczytelne desenie oddalenia.

Do brzegów balkonu przymocowane były długie, zielone skrzynie, z których dyszącą bujnością barw, blasku i zapachu wybuchały kwiaty. Ku górze sterczała rdzewiejąca czerwono rezeda, kwitły kampanule, wonnie oddychały lewkonie, w cieniu tarzały się bratki, zagmatwane w taśmach długiej, białej trawy, szleszczącej w słońcu. Śliskie, miękkie gałęzie owijały się koło filarów balustrady, jak zielone węże, z krawędzi przerzucały się rozpacznie pnące, złotopurpurowe róże, nad przepaścią wisiąły głowami w dół bluszcze.

Pani Katarzyna była osłabiona i senna, a zarazem pełna słodkiego, głębokiego niepokoju. Dobrze jej było siedzieć tak nieruchomo w swoim wiszącym ogrodzie i w białym upale słońca bezpiecznie tęsknić do burzy.

Bezsilną świadomość jej przecinał świetny promień purpurowy, podobny do zakrwawionego sztyletu, promień wiadomości życia i śmierci. Stała dziś na pograniczu obojga tajemnic i zestrzelała w sobie dwa najdalsze zdarzenia ziemi. Był to ów dzień dziwny, o którym zazwyczaj stawiała się wewnątrz niej śmierć, a na grobie wytryskała, jak wiatr, moc owa, odkupująca bezwinną zbrodnię, moc pomnożonego, rozszalonego pragnienia życia. Dzień, który bratał ją z oceanami, czynił zawisłą od wiekuistych przemian księżycowych, podległą prawom niezmiennym, żalosną i pogodną, jak sama jej siostra, natura.

O takim dniu sfera jej wrażliwości wypełniała się chaosem niezrozumiałych odczuć poza człowieczych. Przez pamięć snuły się girlandą zamierzchłe wspomnienia bytów bestialnych i hieratycznych, atawistyczne jakby reminiscencje wieków, gdy w głębi grot ocienionych paprociami, ukrywała się leniwie przed słońcem — ona, śliczna białoróżowa samica o złotej grzywie i oczach, podobnych do oceanu — piękniejsza od samicy łabędzia, od żmii, od czarnej pantery.

Pani Katarzyna posiadała bardzo wiele owej wiekuistej, nie zgładzonej jeszcze przez myśl i kulturę kobiecości, zabranej kiedyś kwiatom, zwierzętom i żywiołom. Miała ciało białe, jak mleko, oczy w grubych powiekach, powoli patrzące, i włosy jasne, uczesane na kształt hełmu.

Siedząc nieruchomo, usłyszała szelest poza firanką. Na balkon weszła z salonu młoda pani w dużym kapeluszu, wesola, zupełnie małatka kiedyś Lola, z którą bawiły się wtedy w królową i robiły sobie piersi z dwóch chusteczek do nosa, żeby wyglądać dorośle.

Przyjaciółka przybyła z wielką prośbą.

— Ubieraj się i pojedziemy razem wybrać łamę i gipsurę — powiedziała.

— Na taki upał — — — zmartwiła się pani Katarzyna.

— Nie dam sobie rady bez ciebie. Oglądałam mnóstwo — i nie mogłam się zdecydować. Cudne mają teraz — ach, gdybyś wiedziała! — — Jedna koronka złota — taka stara, zupełnie jakby rdzą pokryta... Deseń, jak sen — złote cyklameny na jedwabnej pajęczynie... Albo znów ciężkie róże na kanwie srebrnej — — — Hafty dziwaczne — — Chodź —

— Dziś nie mogę w żaden sposób.

— Dlaczego?

— — — Jestem niezdrowa — wyznała pani Katarzyna z niejakim zażenowaniem, zniżywszy głos.

Przyjaciółka zrobiła brwiami minę, pełną współczucia.

— Ach, niezdrowa — — No, to naturalnie najlepiej się nie ruszać. Mnie od przyjscia na świat Tereski kazali zawsze leżeć — przynajmniej pierwszy dzień. Nie ma nic obrzydliwszego, doprawdy, biednaś...

— Dla mnie to nie jest takie znów okropne — uśmiechnęła się leniwie pani Katarzyna.

— Może — — — Ale ja zawsze mam bóle... I przy tym ta myśl, że się jest nieestetyczną... Ja czuję wtedy wstręt do samej siebie — — słowo ci daję. Po prostu nie cierpię siebie — —

— Ja nie. Ja jestem tylko trochę zdenerwowana, płakałabym o byle co — nawet ze śmiechu. Przypominam sobie dawne rzeczy. Właściwie jest mi smutno. Ta myśl, że mogło by być dziecko — —

Pani Lola rozśmiała się, kiwając wielkimi, czarnymi piórami kapelusza.

— Och, och — mało ci jeszcze dwóch synów — ?

— ...Że przecież ono umarło — półgłosem snuła pani Katarzyna. — Jakaś może córeczka — podobna do mnie — —

— No, cóż — jeszcze byś sobie mogła pozwolić —

— żartowała przyjaciółka. — Pogódź się z mężem...
Myślę, że nie nie miałby przeciw temu...

Pani Katarzyna odwróciła głowę, zmieszana rumieńcem jakiegoś nieuchwytnego upokorzenia.

— Ech — to jest tylko jakiś sobie instynkt...
W rzeczywistości nie chcę przecież wcale — —

— Nawet córki?

— Nie — nie —

Wychodząc przed laty za męża, pani Katarzyna była chudą, grubokościstą, nierozbudzoną dziewczyną. Kochała męża, ale jego miłość stała się dla niej utrapieniem i z prawdziwą przykrością urodziła mu dwóch synów. Mąż orzekł, że jest kobietą „bez temperamentu”. — Fakt, że mu się stopniowo sprzykrzyła, był dla pani Katarzyny radosnym spostrzeżeniem: cieszyło ją, że nie będzie trzeba więcej mieć dzieci. Poweselała, utyla i w krótkim czasie stała się kobietą uderzająco piękną, białą, zbudowaną, jak kobiety malowideł Odrodzenia. Czyniła sensację na operach i koncertach, szła ziemią w sieci zachwyconych spojrzeń. I wówczas dopiero z bujnego jej ciała wyrosło, jak kwiat, pragnienie życia. Po raz pierwszy popatrzyła na męża swego, jak na mężczyznę. Ale on kochał już inną kobietę i miał poza domem drugą rodzinę. Odtąd nienawidziła go i w domu jego żyła obca i samotna.

Pani Lola spostrzegła, że była niedelikatna. Usiłowała powrócić do tematu.

— I cóż dawnego przypominasz sobie, co jest smutne? — zapytała dobrotliwie.

— Nie te dawne rzeczy są smutne, tylko samo przypominanie. To, że minęły — — — Żal zwykły za odchodzącą godziną, smutek załzawiony za gasnącym marzeniem — — Bo czasami zdaje mi się na przykład, że żyję w krainie nieistniejącej jednego z tych

ślicznych, dziwacznych krajobrazów, oglądanych w dzieciństwie. Kładę się w cieniu malutkich seledynowych drzew, piję wodę ze studni zielonej, wybieram się w dalekie, białe drogi — — — W pewnym stopniu wszystko to istnieje przecież naprawdę. Cóż by się stało z tym dużym koniem o żółtym oku, który stał obok namiotu, wyhaftowany na dywanie?... Było to zdarzenie ważniejsze od wielu innych koni, które oglądałam przez całe późniejsze życie żywych koni, które biegają, tupiąc prawdziwymi nogami — —

Wesoła pani Lola słuchała pełna uprzejmości, z miną prawie całkowicie poważną.

— Również pamiętam jeden domek na górze, zarosłej krzakami róż dzikich. Stał się on dla wyobraźni mojej pewną koniecznością, punktem porównania, jakby skalą dla wszystkich innych domów na ziemi. Ile razy mówi ktoś przy mnie ten wyraz: domek, zawsze widzę ten właśnie, ten jedyny — pomiędzy różami... Rzecz zabawna, a przecież wydaje mi się, że to wszystko jest właśnie jakieś szczególnie doniosłe — — —

— Obrazy na ścianach są zupełnie podobne do okien w inny świat — potakiwała pani Lola.

— Okna w marzenie... A lustra — wiesz? Jakby drzwi zaczarowane do szklanych pałaców dnia — —

Pani Katarzyna zamyśliła się przelotnie.

— I wszystko takie — najbardziej dziwaczne, bezpotrzebne — staje mi w wyobraźni w owe dni właśnie. Wtedy najsilniej marzę, najdrapieżniej pragnę tych rzeczy cudnych, które uciekają od swej nazwy, jak przerażone ptaki. Tęsknię najbardziej załóżnie...

— Tylko że cała fizjologia tych wzruszeń — — brrr!

— Nie, nie — to nie jest brzydkie. Owa krew purpurowa, plamiąca śnieżne batysty — — nadmiar,

którym pomiata hojna, niedbała natura... Cóż brzydkiego? Ładne — takie beztroskie nieocenianie skarbu życia, rozrzutność radosna —

Pani Lola pozostała jednakowoż przy swoim zdaniu. W czasie rozmowy przypomniła sobie owe złote cyklameny na pajęczynie z jedwabiu i haftowane róże. Zrezygnowana złożyła pocałunek na białym czole przyjaciółki i sama wybrała się czynić zakupy. Wbrew jej protestom pani Katarzyna odprowadziła ją aż do przedpokoju.

Powróciła później na balkon i myślała, ile to już rzeczy stało się od czasu, gdy bawiły się tak kiedyś obie w śliczne dziecinne zabawy — wzajemnie rozumiały sobie i bez zastrzeżeń bliskie. Tak inaczej wędrowały później poprzez pachnące wichry życia, tak inaczej pochylały się nad powabnymi wodami — — Pani Lola miała jedną wyższość nad przyjaciółką: raz mianowicie, przed pięcioma laty, zdradziła była swego męża; pokochała bardzo jednego ładnego i dobrego pana — i zrobiło się tak, że została jego kochanką. Było to coś, co niezmiernie imponowało pani Katarzynie. Wesola pani Lola powróciła jednak później do swego męża, który nie był ani ładny, ani rozumny — ale za to był jedynym człowiekiem, który mógł jej dać niezmiernie wiele cielesnego szczęścia. Tak — nie kochając go — była szczęśliwa i dlatego tylko nie rodziła więcej dzieci, że już sama nie chciała.

A pani Katarzyna nienawidziła swego męża i zupełnie nie potrafiła go zdradzić.

Duża, powiewna, biała chmura, która o jakiejś niezauważonej chwili zakryła była słońce, spadła teraz miękko w lazurową głębinę, roztopiła się w pożarze nieba. Pani Katarzyna słodko przymknęła oczy, w odzyskanej świeżo samotności kontemplując bezcenne, złote ciepło dnia, bezsłownymi ustami uśmiechając się do niepojętej szczęśliwości życia. Westchnęła.

Żałowała znów, że nie może mieć tych wszystkich ślicznych dzieci, które w niej umierały wciąż od tylu lat. I zarazem myślała ze zdziwieniem, czemu tak tajemnie dziką jest natura, że w marzeniu i tęsknocie pragnąć każe tego, co jest tylko cierpieniem, co rzuca w torturze i przerażeniu na niski, czarny brzeg śmierci. I dziw niepojęty, że się z nad tej przepaści przynosi cudze nowe życie...

W owej chęci macierzyństwa — przelotnej i bezzasadnej — krzewiącej się na zewnątrz myśli, pani Katarzyna wyczuła znów uroczyste przybliżenie, pochylenie odurzonej głowy ponad odmęttem spraw najważniejszych, wiekuiście doniosłych, ostatecznych...

Myśl czy widzenie... Owa kobieta, z bytu swego emanująca nowe byty, macierzyństwem swym kładąca się między życie i śmierć, jak most ponad przepaścią — kobieta wiekuiста... Ta, która łączy obie krańdziej, niby gałąź kwitnąca... Ona, śliczna białoróżowa samica o złotej grzywie i oczach, podobnych do oceanu — piękniejsza od samicy łabędzia, od żmii, od czarnej pantery.

Pani Katarzyna powoli rozwarła oczy ku kwiatom. Tarzały się w słońcu u jej nóg, sięgały bioder. Droga naturalną i oczywistą wykwiłała z ich kolorów cudnych i zapachów myśl tęskna o miłości, żywej zawsze, chociaż nieistniejącej, o miłości, która kiedyś na zewnątrz świata trwaniem swoim mistycznym usprawiedliwiała wszystkie marzenia ziemi.

— O kwiaty dobre — — westchnęła szeptem.

I jeszcze raz na nowo zapagnęła miłości, co by jej zabroniła patrzeć ze wstrętem na syna, że uśmiech podobny ma do ojca. Był to bowiem dzień ten, dzień wiary bezzasadnej, że wszystko, co już było, stać się może na nowo, stać się może inne, pierwotne i ostateczne, jak kwiaty —

Z okna sąsiedniego posłyszała głosy mężczyzn: mąż

w gabinecie swoim gościł widocznie kogoś ze znajomych. Słowa dochodziły do niej — bezpotrzebne, puste.

— A jakże dzisiaj pani? — pytał głos obcy. — Stanowczo zobaczyć jej nie można? — cierpiąca? —

— Ach, żona! — Nie... Widzi pan — he, he — panie zawsze mają tam różne swoje ten...

Słyszała, pełna wstrętu — ona w dniu tym zbratana z oceanami, zawisła od wiekuistych przemian księżycowych, podległa prawom niezmiennym, żałosna i pogodna, nieświadoma tajemnic swoich, jak sama śliczna jej siostra, natura.

1908 r.

Wła

Cały ten magnacki, chem królewskim, zdne, rzadkie malowidła dotąd nie poznanych, którymi nie pracowały, talowe, przedmioty i tajemniczy zamek w Wysokie, półokrągło z drobnymi kolorowymi wiane, fantazyjnie ponętrz zamurowane — W zamku paliły się d ukrytych w matowych tego nie wiadomo był W ogóle wszystkie ech i płacz ludu — tam, n przez grube mury k